



Kryminał z myszką

8

CIEŃ

NA POKŁADZIE

DR JERZY KOSTRZEWA
PROWADZI ŚLEDZTWO

Tadeusz
Kostecki

Tadeusz Kostecki

CIEN' NA POKŁADZIE

Kryminał z myszką – Tom 8

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-43-4

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS RZECZY

- I. Okruchy zdarzeń
- II. Cień na pokładzie
- III. Doktor Jerzy Kostrzewa
- IV. Sytuacja zaczyna się gmatwać
- V. Niektórzy ludzie na statku
- VI. Znalezienie brakującego ogniwa nie prowadzi donikąd
- VII. We mgle
- VIII. Śruba odmawia posłuszeństwa
- IX. Cygaro dziwnego gatunku
- X. Niebezpieczeństwo się zbliża
- XI. Jedna z niewiadomych przestaje być tajemnicą
- XII. A tymczasem w Gdyni
- XIII. I gdzie indziej
- XIV. Wczesny gość
- XV. Niebieska koperta
- XVI. A jednak: „Zastopować maszyny”
- XVII. Decyzja trzy jota trzy
- XVIII. Czyżby znów „Złotowłosa”?
- XIX. Omyłka, która wnosi światło
- XX. Czy pan się wreszcie zdecydował zdekonspirować?
- XXI. Dzień KR, godzina TWP
- XXII. M/S „Jedność” nie odpowiada
- XXIII. Statek hydrograficzny „Oceania”
- XXIV. Godzina TWP minus piętnaście
- XXV. Siedemset dwadzieścia mil
- XXVI. Hel na horyzoncie
- XXVII. Wiatr zmienia kierunek

I. OKRUCHY ZDARZEŃ

I

Marynarz pokładowy z M/S „Jedność”, Sorek, w pierwszej chwili zamrugał oczyma. O co temu typowi właściwie chodziło? Przedtem wszystko było jasne. Wódka taka, wódka owaka, piwo, zakąski. Chwilami aż się wierzyć nie chciało, że ten zatabaczony szczur ładowy, którego przed niespełna dwiema godzinami ujrzał po raz pierwszy na oczy, ma aż tak szeroki gest.

Wypili... No, sporo musieli wypić, skoro nawet Sorek, który się zawsze chlubił „żelazną” głową, był tak zamroczony, że nie rozumiał, co się do niego mówi.

Marszczył brwi, usiłując odcyfrować znaczenie cichych słów. Aż nagle niczym jasność błyskawicy... Niemal otrzeźwiał. Chce, żeby go przemycić na statek jako blindę? Zesztywniał groźnie, próbując się podnieść. Ale że nogi jak z waty, musiał się wesprzeć o krzesło.

– Do kogo z takim czymś?

A tamten ciągnie za rękaw i wciąż nałazi z portfelem. Że niby odda wszystko, żeby tylko...

Sorek szperał przez chwilę po stole. Tym razem przełknął wodę sodową z całą świadomością. Musiał przecież trochę przewietrzyć łeb. Diabli nadali taką okazję. Poczestunek poczęstunkiem, ale wyjeżdżać z taką grandą? Trzeba mieć pecha.

– Odwal się, pókim dobry.

Gdzie tam. Jeszcze bardziej zaczyna się ślimaczyć. Że musi, że rodzina, że to i tamto. Kto by wszystko spamiętał. Trzepie językiem jak wiatrak skrzydłami. Ale sens jasny. Chce na blindę i już. A jeżeli pieniędzy w portfelu za mało, to dołoży. Nie brak mu.

Teraz już Sorek stał całkiem prosto.

– Pies ci mordę lizał z twoją forszą. Zmykaj i żeby śladu po tobie nie zostało.

A gdy nie usłuchał, Sorek zjeżył się na dobre. Diabli wiedzą, czy tu tylko o blindę chodzi. Za bardzo jakoś natrętny. I forsy coś za bogato. Mózg pracował coraz sprawniej.

– Eee, bratku – nachylił się nad nim, wwiercając w jego twarz mętne oczy – kim ty właściwie jesteś?

Dopiero teraz jegomość zwinął się jak nadeptnięty wąż.

Sorek zaczął się rozglądać. Trzeba by typa przetrzymać i przyjrzeć mu się bliżej. Zdawał sobie sprawę, że sam nie da rady. Ledwo zdołał ustać na nogach. I to z podpórką.

Kierownik wysunął się ze swego kojca. Poczuł, że coś wisi w powietrzu. Do niego należało, by nie dopuścić do jakiejś grubszej awantury.

– O co chodzi? – podszedł do stolika.

– A bo ten... – Sorek nagle urwał. Obok nie było nikogo. Ładna historia. Jeszcze na dobitek wystrychnął go na dudka.

– Ten pan już wyszedł – wyjaśnił kierownik. – A coście do niego mieli?

– Znać go? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Kierownik pokręcił głową.

– Nie. Był tu pierwszy raz. A bo co?

Sorek zastanowił się. Po co rozmazywać sprawę, skoro i tak nikt typa nie zna?

– Nic – strzepnął niedbale palcami – trochę się przemówiliśmy.

Kierownik uśmiechnął się pobłażliwie. To zwykła rzecz przy kieliszku. Szczególnie po takiej ilości alkoholu.

II

W myśli jednak nie przestawało wiercić, choć Sorek już daleko odszedł od knajpy. Czuł się niemal całkiem pewnie. Na pierwszy rzut oka trudno by poznać, że aż po czubki włosów przesiąkł alkoholem.

– Coś taki markotny?

Przystanął ucieszony. To właśnie Sielawa wychynął z przecznicy. A Sielawa mądry chłop jak rzadko.

Krótko się wahał. Trzeba się przecież z kimś podzielić. Lżej będzie człowiekowi na duszy.

– Bo widzisz, bracie, wyszła taka rzecz... – opowiedział wszystko.

Sielawa pokręcił z powątpiewaniem głową. Żeby chodziło o kogo innego... Ale Sorek... Któż nie wiedział, że potrafi wyssać z palca najbardziej nieprawdopodobną historię?

Może jednak tkwi w tym jakieś ziarno prawdy? Diabli wiedzą. Zamyślał się coraz bardziej. Blind nie blind. Wyruszają w taki rejs, że...

– Musisz zameldować kapitanowi.

– Ee tam, zaraz kapitanowi... – Sorek pocierał z zaciętrzewieniem czubek nosa. – Jestem trochę tego... A stary ma nos, że na milę poczuje.

Sielawa obejrzał go krytycznie.

– Wcale nie najgorzej się trzymasz. Wsadzisz łeb do miski zimnej wody i po paru minutach jak ręką odjął. A z takimi sprawami nie można zwlekać.

Razem weszli na trap. Konwojował go do umywalni. Począł, aż dokona ablucji. Bo z Sorkiem nigdy nic nie wiadomo. Mógł skrewić w ostatniej chwili. Wcale nie przepadał za stawaniem przed zwierzchnością. Wreszcie doprowadził go aż do samych drzwi kapitańskiej kajuty. Okazało się to zresztą potrzebne. Bo jeszcze parszając na wszystkie strony wodą niczym hipopotam, zaczął się wymawiać. Że może jutro, że go głowa boli, że to, że owo...

Musiał mu przypomnieć sprawę uwięzionych statków, wtedy dopiero zrezygnował z dalszych wykrętów.

W kajucie oprócz kapitana Sorek zastał pierwszego oficera. To jeszcze bardziej zbiło go z pantafyku. Gotów wykpić i zrobić z człowieka balona. U Igielnickiego o to nietrudno.

Odwrót jednak był odcięty. Za progiem spacerował Sielawa, ten nie popuści. Jak sobie coś wbije do głowy, to umarł w butach. Uparty jak kozioł. Nie było rady. Jąkając się przy każdym słowie, wykrztusił wreszcie, z czym przyszedł. Kapitan Bartczak popatrzył z niedowierzaniem.

– Blind do Chińczyków?

Igielnicki, nie przestając majdrować przy swoim zegarku, wtrącił niby to mimochodem:

– Och... niekoniecznie.

– Jak to?

– Nno... – przyłożył zegarek do ucha, potrząsnął nim i otworzył kopertę – nie zapominajmy o Tajwanie. Wystarczyłoby podać przez krótkofalówkę położenie statku. Albo choćby nawet wystrzelić w porę rakietę...

Bartczak zmarszczył brwi.

– To prawda... Rozpoznałibyście tego typu? – zapytał Sorka.

Sorek potrząsnął z ubolewaniem głową.

– Wątpię... Taki jakiś wyblakły, że nic nie dało się zapamiętać z jego wyglądu.

Żadnych znaków szczególnych.

Igielnicki roześmiał się.

– Brawo. Styl urzędowy, że proszę siadać. Niedługo zajdzie konieczność awansowania go na referenta.

Kapitan popatrzył z ukosa na Sorka.

– Ciekawe... Siedzisz z człowiekiem diabli wiedzą jak długo i nie zauważyłeś nic, po czym mógłbyś go poznać? Byłeś pijany? – pociągnął podejrzliwie nosem.

Sorek zdrętwiał. A nie mówił Sielawie? Zaczął przestępować z nogi na nogę.
– Żeby prawdę powiedzieć... to odrobinę – wybąkał.
Bartczak sapnął. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, wtrącił się Igielnicki.
– Był pijany, kapitanie. I to wcale nie odrobinę. Stawiam zegarek przeciwko złamanemu guzikowi, że na koszt właśnie tego typu. Na pewno nie żałował kolejek. Czyż nie tak?

Sorek zwiesił głowę.
– Tak.
– W porządku – Igielnicki jeszcze raz przyłożył zegarek do ucha, po czym z zadowoloną miną schował go do kieszeni. – Wszystko się zgadza jak w aptece.
Bartczak tarł wierzchem dłoni podbródek.
– Nie mogłeś go zatrzymać?
– Próbowałem. I nawet kierownik zakładu podszedł, widząc, że coś nie w porządku. Ale facet zdążył już zniknąć. Pytałem kierownika... Nie zna go.
– Jasne – Igielnicki wstał, obciągając kurtkę. – Nie myślcie, że takich blindów rekrutują spośród ślepych szczeniąt. Trzeba by kogoś znacznie dowcipniejszego od nas trzech razem wziętych, by mu przytrzasnąć ogon.

III

Drugi oficer, Kaniewski, powrócił na statek dopiero późnym wieczorem. Był czymś mocno rozdrażniony, chociaż usiłował tego nie okazywać.

– Cóż to – powiódł wzrokiem po pokładzie – pogotowie wojenne?
Bartczak wyjaśnił, o co chodzi.
Kaniewski przyjął wiadomość raczej obojętnie.
– Ja osobiście nie traktowałbym tego aż tak poważnie. Przy kieliszku niejednego rozpiera chęć odbycia wędrowki do egzotycznych krajów. Znać przysłowie: Pijanemu morze po kolana? Zresztą... – machnął ręką. – Może i macie rację, kapitanie. Moglibyście odpowiedzieć przysłowiem na przysłowie. Bo jest przecież i takie: Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Bezkrwiste wargi Kaniewskiego zadrgały w nikłym uśmiechu. Uśmiech ten jednak wyglądał na wymuszony.

Odszedł ociężałym krokiem w kierunku swojej kajuty. Wachta wypadała mu dopiero po północy.

Bartczak patrzył za nim w zamyśleniu. Tego człowieka coś gnębi. Bardzo się ostatnio zmienił. Jakby nagle postarzał o wiele lat. Co za robak go toczy? Wiedział, że stwierdzenie tego nie będzie rzeczą łatwą. Kaniewski zamykał się jak ślimak w skorupie. Należało się jednak tym zająć pomimo wszystko. Cóż z tego, że w służbie był bez zarzutu? Służba to jeszcze nie wszystko. Chodzi przecież i o człowieka...

Zbliżała się godzina wyjścia z portu. Bartczak zatelefonował do WOP.
– Czy nie moglibyście przyjść trochę wcześniej? Zaszły pewne szczególne okoliczności.

Przyszli.
Przetrasnęli statek od kilu po kapitańską wyżkę. Nie było chyba najmniejszego zakamarka, dokąd by nie zajrzeli. Nie znaleziono jednak nic podejrzanego.

Oficer WOP nachylił się nad świadectwem odprawy.
– Podpisuję go z czystym, jak rzadko, sumieniem. Jeżeli tylko w grę nie wchodzi „czapki niewidki”, nikogo obcego nie ma na statku.

IV

W widmowej poświacie światła kompasu twarz Igielnickiego wyglądała obco. Zazwyczaj rozluźnione uśmiechem rysy stężały teraz w skupieniu.

Bartczak zapalił papierosa, osłaniając płomień dłonią. Ręka pierwszego oficera leżała lekko na dźwigni telegrafu. Zdawałoby się – uosobienie spokoju i opanowania. A przecież po palcach przebiegało ledwo dostrzegalne drżenie.

Cóż dziwnego? Wszyscy na statku byli podenerwowani. Wpłynęli na najbardziej niebezpieczny odcinek. Lada chwila mógł wychynąć z ciemności stalowy kształt pirackiej kanonierki. O tym właśnie Bartczak myślał.

A wtedy... – przygryzł wargi. – Byli przecież bezsilni. Utrata statku wraz z jego ładunkiem. Długie miesiące niewoli połączonej z brutalnym naciskiem.

Wodził niespokojnym spojrzeniem po nasiąkniętej mrokiem, lekko połyskującej toni. Wokół zalegała niczym niezmacona cisza i pustka. Ale to oczywiście niczego nie dowodziło. Pirat tym właśnie groźniejszy, że napada znienacka.

Skądś, z oddali, dobiegło echo przeciągłego łoskotu. Grzmot? Nie, to nie był grzmot.

Zerknął na Igielnickiego. Spojrzenia ich się spotkały. Odrzutowiec. Nie było najmniejszej wątpliwości. Stalowy jastrząb wypatrujący łupów dla pirackiej wyspy.

Pamiętali z prasy. Wtedy też odbyło się właśnie w taki sposób.

Ten był jeszcze daleko. Cóż jednak taka przestrzeń dla odrzutowca? Mile stanowią kwestię zaledwie sekund.

Palce Igielnickiego zacisnęły się na czarnej rękojeści dźwigni telegrafu. Obydwaj myśleli w tej chwili o tym samym. Jeżeli dojrzy? Z góry miał bardzo rozległe pole widzenia. Nawet w nocy. Znowu dudnienie. Bliżej? Dalej? A może drugi? Trudno się było zorientować.

Bartczak otarł czoło wierzchem dłoni.

– Uff... – sapnął – piekielnie duszno.

Rzeczywiście, pomimo nocy panował trudny do zniesienia upał. Płucom brakło powietrza. A przecież nie tylko temperatura wyciskała pot na czole kapitana M/S „Jedność”. Nieomal z podziwem zerkał na suchą twarz Igielnickiego. Zupełnie jakby się urodził w tropikach. I nerwy. Niekiedy zazdrościł mu tych nerwów jak postronki.

– Tak – Igielnicki przerwał wreszcie milczenie. – Mały sygnalik krótkofalówką albo rakietą – i po nas...

– Na naszym statku nie ma zdrajców – w głosie kapitana brzmiały nutki hamowanego oburzenia.

– Wierzmy, że tak jest w rzeczywistości...

– Nie macie zaufania do ludzi?

– Bywają ludzie i ludziska...

– Ale na naszym statku... – Papieros w palcach kapitana zadrżał.

– Cóż – Igielnicki poprawił kołnierz mundurowej kurtki – dotychczas żaden nie dał powodu, żebym stracił do niego zaufanie. Ale to jeszcze nie znaczy, że zdołałem poznać, co w każdym z nich siedzi.

Miarowy rytm maszyn wstrząsał pokładem. Po obu stronach dziobu lśniły fosforycznym blaskiem bruzdy rozcinanej wody.

Raz po raz zastygłe w bezruchu powietrze rozdzierał przygłuszony ryk motorów odrzutowca.

V

A przecież czyjeś ręce ścisnęły kurczowo raketę. Uszy badały w skupieniu natężenie odgłosów niewidocznego samolotu. Cóż z tego, że daleko? W mroku widać raketę na wiele mil dokoła. Dostrzeże na pewno. Wystarczy przytknąć płomień zapalniczki – i sprawa załatwiona.

Któż potem będzie w stanie czegokolwiek dowieść? Trzeba tylko znaleźć odpowiednie miejsce, by ją wystrzelić. Ale właśnie z tym było najtrudniej. Próbował tu, próbował gdzie indziej. Ani mowy nawet. Po całym pokładzie snuli się ludzie.

Ciało spływało lepkiem potem. Długi płaszcz krępował ruchy. Musiał go jednak włożyć, by zasłonić rzucającą się w oczy biel odzienia. Nawet w zacisznym zakątku za kotwiczną windą czyjaś sylwetka sterczała przy burcie. To samo na spardeku, to samo na rufie.

Wszędzie ktoś stał, wlepiając oczy w ciemność, albo spacerował nerwowym krokiem. Chyba tej nocy nikt nie korzystał ze swej koi. Wędrówka trwała długo. Zaglądał wszędzie. W końcu zrezygnował. Nie było najmniejszej możliwości realizacji planu.

Gdyby jeszcze miał rakiетnicę, może zdołałby ułować sposobną chwilę. Pociągnąć za cyngiel i zniknąć bez śladu. Ale tak... Wracał do siebie, zaciskając zęby. Zaprzepaścić taką okazję? Z trudem zdołał się opanować. Splunął za burtę.

VI

Bartczak nie mógł już dłużej wytrzymać nieruchomego trwania w ciasnej wyżce. Chociaż nie okazywał tego po sobie, nie przestawały go nurtować słowa Igielnickiego. W gruncie rzeczy trudno mu było właściwie odmówić racji. Zaufanie zaufaniem, a jednak nie mógłby stwierdzić z czystym sumieniem, że znał naprawdę każdego z członków załogi. Bywają okoliczności, w których zbytne zaufanie jest niczym innym jak tylko karygodną lekkomyślnością. Zwłaszcza teraz.

– Przejdę się trochę – mruknął wreszcie, wachlując twarz czapką. – W tej łaźni można się upiec.

Igielnicki pokiwał aprobująco głową.

– Słusznie. Małe przechadzki nad wodą znakomicie orzeźwiają organizm.

Zdawał sobie doskonale sprawę z pobudek kierujących kapitanem. W grę wchodziła zbyt wielka stawka, by można zaniedbać jakąkolwiek ostrożność.

Bartczak schodził w zamyśleniu na pokład. Diabli nadali. No... właściwie nie zaszkodzi się przespacerować. Pańskie oko konia tuczy... Szedł powoli, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Wszędzie aż rojno od ludzi. Gdyby nawet znalazł się jakiś zdrajca, nie pozwolono by mu na wprowadzenie w czyn zbrodniczego zamiaru. Dałby sobie zresztą rękę uciąć, że takiego zdrajcy nie było. Jakże... Wśród jego załogi? Przystanął przy uchylonych drzwiach kabiny drugiego oficera. W mroku szarzała niewyraźna plama twarzy.

– Udusić się można – westchnął jakby z rozdrażnieniem Kaniewski.

– Tak – potwierdził Bartczak – gorąco.

Ruszył dalej. Kaniewski schodząc z wachty, oświadczył, że natychmiast się położy. Tymczasem był ubrany. Widocznie zrezygnował z zamiaru. Nic zresztą dziwnego. Niełatwo uleżeć w betach przy takiej temperaturze. Szczególnie, jeśli ma się jakieś problemy ze zdrowiem. A że Kaniewskiemu coś dolegało, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Tylko co on takiego trzymał w ręku? Zupełnie jakby nabój od dubeltówki. Nabój od dubeltówki? Śmieszne. Raczej jak... Ale żadne inne porównanie nie przychodziło jakoś na myśl.

VII

Sorek zadarł głowę, obserwując przepływające wysoko w górze pierzaste obłoczki.

– O! – wyciągnął w górę rękę – przeleciał!

Wszyscy stojący w pobliżu jak na komendę spojrzeli w niebo.

Nic jednak nie zauważyli. Po prostu Sorek kawały urządza. Nie pierwszyna mu przecież.

– Ty... – sarknął Gwóźdź – uważaj, żeby ktoś i z ciebie w końcu nie zrobił balona.
 – Wydawało mi się, że widzę, jak wylatuje zza chmurki.
 Foryś parsknął. Śmiech zabrzmiał nieco nerwowo. Wszyscy tej nocy byli podekscytowani.
 – Szkoda, żeś mu soli na ogon nie nasypał.
 – Brzęczy i brzęczy niczym uprzykrzony komar – oburzył się Konkiel.
 Sielawa poklepał go po ramieniu.
 – Komar? Patrzcie no. To na słonia pewno powiesz mucha?
 – Swoją drogą – radiotelegrafista Mańczak strzyknął śliną przez zęby – lichy wie, co to takiego. Człowiek czuje się jak podczas wojny.
 – Pewno – potwierdził Konkiel. – Chłop ma rację.
 Gwóźdź sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Zmitygował się jednak w chwili, gdy palce dotknęły pudełka. Lepiej nie. Jeszcze ten z góry gotów zobaczyć. Ssał dalej niezapaloną fajkę.
 Sorek wpatrywał się w ciemność.
 – O! – zawołał znowu, wychylając się ryzykownie przez poręcz nadburcia – światła portu. Niech skonam!
 W pierwszej chwili nikt mu nie uwierzył. Znowu buja. Okazało się jednak, że tym razem mówił prawdę. Odetchnęli z przeogromną ulgą. Niebezpieczny rejs dobiegał końca.

VIII

Pokój stanowił coś pośredniego pomiędzy lokalem biurowym a prywatnym gabinetem. Wielkie, proste biurko, dwa krzesła, regał obok rozłożystych, krytych zamszem klubowców, puszystego dywanu i srebrno-kryształowej zastawy na delikatnym blacie inkrustowanego stolika. Drzwi starannie obite wyciszającą matą, jak niemal w każdym urzędowym gabinecie przeznaczonym na poufne konferencje. Białe biurko zdobiła bizantyjska waza załamująca promienie światła w szlifie szkielek imitujących drogocenne kamienie, a także ciężka statuetka stylizowanego lwa o szeroko rozwartej paszczy.

Te kontrastujące z umeblowaniem biurowym cacka miały jednak całkiem specjalne przeznaczenie.

Jedno ze szkielek oprawionych w patynowany metal wazy stanowiło soczewkę precyzyjnego mikroaparatu fotograficznego. W paszczy zaś lwa tkwił przemyślnie ukryty mikrofon, od którego przewód biegł do najnowocześniejszego dyktafonu umieszczonego w szafce biurka.

W tej chwili wszystkie te urządzenia były nieczynne. Blenda przesłaniała soczewkę. Dyktafon wyłączony.

Nic zresztą dziwnego.

Gość, tkwiący sztywno w jednym z foteli, znał każdy najdrobniejszy szczegół w tym pokoju. Bodaj czy nawet sam nie uczestniczył w akceptacji ich założeń.

Zachowanie jego świadczyło, że jest mocno niezadowolony. Ani spojrzał na srebrną skrzyneczkę z najprzedniejszymi cygarami.

Pomimo zachęcających gestów gospodarza sięgnął do kieszeni, wydając z ozdobnego etui własne cygaro.

Nie zaszczycił najmniejszą uwagą mieniącego się wszystkimi kolorami tęczy koktajlu w smukłym kieliszku.

Udał, że nie dostrzega podsuniętego usłużnie ognia, manipulując przy swojej zapalniczce.

Gospodarz stłumił westchnienie, obserwując ze smętnym zainteresowaniem jakiś sobie jedynie wiadomy punkt na gładkiej boazerii. Postawa gościa nie wróżyła nic dobrego.

Cóż mógł jednak na to poradzić? Sprawa nie wyglądała bynajmniej pomyślnie. Chcąc nie chcąc, musiał to w duchu przyznać.

– Tak dalej być nie może!

Drgnął, tracąc z miejsca wszelką ciekawość wobec boazerii. Wypływający z pergaminowych warg głos był całkiem cichy. Zabrzmiał jednak donośnie jak bijący tuż nad uchem dzwon.

– Tak... – pochylił w wyrazie ubolewania głowę. – Prawdę powiedziawszy, nie możemy się w tej sprawie poszczycić większymi sukcesami.

– Większymi? – ostre spojrzenie wodnistych źrenic dźgało niby szydłem. – Żadnymi. Absolutnie żadnymi.

– Żadnymi – powtórzył potulnie. – Słusznie.

Oponowanie gościowi nie należało do rzeczy rozsądnych. Ani bezpiecznych. Szczególnie w tego rodzaju sytuacji.

Pokora jednak nie ułagodziła gościa. Wypuścił z ust gęsty kłęb wonnego dymu. Ze zmarszczonymi brwiami obserwował, jak rozpływał się powoli w górze.

Minęła dłuższa chwila, zanim znów odwrócił twarz ku gospodarzowi.

– Czy pan jest tu po to – przyjrzał mu się krytycznie zmrużonymi oczyma – by stwierdzić, że nic się nie robi?

Gospodarz poruszył się niespokojnie w fotelu, jakby go nagle coś zaczęło uwierać.

– Robimy, co w naszej mocy.

– Ach... tak, co w waszej mocy... Widocznie bardzo niewiele w niej leży – syczący głos pulsował nutkami zjadliwego sarkazmu. – Bo jak dotychczas cały rezultat... – dmuchnął wymownie na rozpostartą na płask dłoń. – Czyż nie tak?

Palce gospodarza zacisnęły się kurczowo na miękkiej skórze obicia fotela. Te żółtawe ogniki pełgające pod na wpół opuszczonymi powiekami. Nieraz widywał podobne w czasie polowania na drapieżne zwierzęta. Ale wołałby mieć do czynienia z prawdziwym drapieżnikiem z dżungli, choćby i najbardziej rozżartym, niż z dżentelmenem siedzącym w nienagannej pozie naprzeciwnie.

Rozmaite słuchy chodziły o losie ludzi, którzy mu nie potrafili dogodzić. Tym bardziej niepokojące, że niemożliwe do sprawdzenia. Bo niektórzy z nich, uprzednio spotykani niemal co dzień, nagle stawali się nieosiągalni.

Przesunął końcem języka po zaschłych nagle wargach... W tej grze nie tolerowano fuszerki.

– Czekam na odpowiedź! – jeszcze bardziej drewniane brzmienie ponagających słów.

Gospodarz przełknął ślinę, wciągając głęboko powietrze do płuc.

– No... próbowaliśmy przecież...

Czuł, jak na grzbiecie występują grube krople zimnego potu. Gość machnął lekceważąco ręką.

– Próby... Niestety, słyszę o nich nie po raz pierwszy. Ale jeżeli chodzi o prawdziwą akcję? Wszystko zostało przygotowane do najdrobniejszego szczegółu. Chodziło tylko o wiadomość, gdy statek znajdzie się we właściwym miejscu. Sygnał ten jednak nie został podany. Przygotowania spaliły na panewce, ładunek, który nie powinien dotrzeć do celu, został dostarczony w całości o ściśle oznaczonym czasie... Może się mylę? – spojrzał zjadliwie. – W takim razie proszę mnie skorygować.

Gospodarz z trudem zachował sztywną postawę. Tylko wieloletniej wprawie zawdzięczał, że twarz pomimo wszystko pozostawała drewnianą, nic niemówiącą maską.

– Nie... nie myli się pan. Tak było. Ale czyż to nasza wina? Nie mieliśmy możliwości umieszczenia na statku naszego człowieka, chociaż sprawę powierzyliśmy najzdolniejszym agentom.

– Najzdolniejszym? – wydał wargi. – Moje serdeczne gratulacje. W takim razie, jak wyglądają ci mniej zdolni? I pragnąłbym wiedzieć, jeżeli to nie stanowi specjalnej tajemnicy, za co właściwie wszyscy razem pobierają pieniądze ze skarbu Jego Królewskiej Mości? Bo, moim skromnym zdaniem, stwierdzanie braku jakichkolwiek sukcesów nie stanowi jeszcze do tego wystarczającej podstawy...

Gospodarz na wpół świadomym ruchem sięgnął po kieliszek. Wychylił koktajl jednym haustem. Co za niezdolnie zjadliwy typ.

I najgorzej, że właściwie trudno mu odmówić racji.

– Jak w tej chwili wygląda sytuacja? – zapytał po chwili milczenia gość.

– Nno... mamy pewne nadzieje, że... Przerwał bezceremonialnie.

– Próby, nadzieje, nie o to mi chodzi. Czy zdołaliście wprowadzić na pokład swojego człowieka?

– Jeszcze nie, ale... Znowu mu przerwał.

– Dość! – ostre słowo zabrzmiało jak warknięcie. – Przelewanie z pustego w próżne do niczego nie doprowadzi. Musimy... – zamyślił się. – A co porabia DOS 204? – podniósł nagle głowę.

– DOS 204? – powtórzył ze zdziwieniem gospodarz. To był jeden z asów pierwszej wielkości. Nie przychodziło mu dotychczas na myśl, by go obciążać tego rodzaju poleceniem. Wydawało się zbyt mało doniosłe. – Miałem zamiar powierzyć mu...

– Jest wolny?

– Tak.

– Proszę go więc delegować do tej sprawy.

– Tak... Ale... hm...

– Co za ale?

– Mógłby... hm... wsunąć obiekcje. Dotychczas prowadził jedynie sprawy pierwszorzędnej wagi.

– Co? – zmarszczył się. – Obiekcje? Proszę mu powtórzyć, że ja tak poleciłem. To powinno rozproszyć wszelkiego rodzaju wątpliwości. A co do wagi... Sprawa jest dostatecznie ważna. Mam nadzieję, że pan zna szczegóły?

– Oczywiście...

– Oczywiście? Sądząc z dotychczasowej akcji, ta oczywistość nie jest wcale taka pewna...

Potem jednak atmosfera zrobiła się znacznie pogodniejsza niż na początku.

IX

Przewidywania okazały się słuszne.

DOS 204 początkowo nie chciał nawet słyszeć o propozycji.

– Co, mam się zajmować taką błahostką? Chyba jakieś nieporozumienie. Ja? – Miał nader wysokie mniemanie o swych zdolnościach. Zresztą nie był w tym odosobniony.

Dopiero usłyszawszy nazwisko rozkazodawcy, stulił uszy.

– Hm... Z tego wynika, że to coś niezmiernie ważnego?

– Jasne, że tak – potwierdził gospodarz.

DOS 204 zmienił radykalnie front. Nie miał zresztą innego wyjścia. Jakakolwiek bowiem dyskusja z wszechwładnym rozkazodawcą była w ogóle nie do pomyślenia. Wiedział o tym aż nazbyt dokładnie. Nie pozostawało mu nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry.

– Skoro tak, to jestem do usług – oznajmił jakby z radością.

Gospodarz poprawił się w fotelu, wyciągając wygodnie nogi.

– Otóż proszę posłuchać. Za wszelką cenę należy opóźnić przybycie statku do portu przynajmniej o kilkanaście godzin.

Agent popatrzył na niego uważnie.

– Za wszelką? – powtórzył z naciskiem.

Szef potrząsnął głową.

– Nie. Źle się wyraziłem. Żadne ostateczności nie wchodzi w tym wypadku w rachubę. Jakaś niezbyt groźna awaria, o ile możliwe, bez strat w ludziach. Uszkodzenie maszyn, czy coś w tym rodzaju. Nie potrzebuję chyba pana pouczać.

– Oczywiście.

– I jeden kategoriyczny warunek: wszystko, co stanie się na statku, musi sprawiać wrażenie zwykłego przypadku. Zrozumiałe?

– Jak najbardziej. A jaki cel tego opóźnienia?

– Rudzki...

– Ten, którego odczyty zostały zapowiedziane?

– Tak.

– Będzie pasażerem tego statku?

– Właśnie. Jeżeli zaś jego wykłady nie odbędą się w zapowiedzianym czasie – nie odbędą się nigdy. Próbowaliśmy uniemożliwić mu wynajęcie sal. Nie udało się. Sale zostały zarezerwowane.

– O ile się nie mylę, w grę wchodził w tym wypadku nie tylko biznes. Za to na wszystkie późniejsze terminy w tym okresie zarezerwował je kto inny.

– Tak... – uśmiechnął się lekko w odpowiedzi na pytające spojrzenie agenta. – Ten pomysł wpadł nam do głowy cokolwiek za późno... I dlatego właśnie... Czy pan rozporządza kimś, komu zręczne otworzenie sejfu nie sprawi większej różnicy?

– Oczywiście.

– To dobrze. Bo właśnie zajdzie konieczność zajrzenia do kapitańskiej szafy na tym pudle.

– Notatki Rudzkiego?

– Nie... Notatki nas nie interesują. Tu chodzi o znacznie bardziej konkretne rzeczy.

– A bliżej precyzując?

– O fotografii. Czy pan wie, na jaki temat mają być te odczyty?

– Nie.

– Otóż to. A temat, można powiedzieć, delikatny: „Wpływ rozładowań termojądrowych na zdrowie ludzkie”. Bardzo à propos, nie uważa pan?

– Rzeczywiście... – agent pokręcił głową. – Nie można mu było zakazać ich wygłaszania?

– Niestety. Oczywiście robiliśmy w tym kierunku, co tylko było w naszej mocy, ale... Jednym słowem Rudzki wpadł na niezwykle dowcipny trik. Otóż będąc członkiem korespondentem Królewskiego Towarzystwa Medycznego, przesłał tam tekst odczytu. W tych zaś warunkach...

– Rozumiem. A te fotografie takie groźne?

Szef Sekcji Dalekiego Rozpoznania poruszył się ostro w fotelu.

– Groźne? Bba... Gdy zrzucono atomówkę na Hiroszimę, japońscy lekarze obfotografowywali ofiary na wszystkie strony. Robili to z piekielną dokładnością. Zaraz po zakończeniu wojny można było przy pewnych staraniach zdobyć te odbitki. I właśnie Rudzkiemu się udało. Są jak najbardziej oficjalne. Pieczęcie na odwrocie i wszystko co potrzeba dla udowodnienia autentyczności. Tak: to bardzo drastyczne zdjęcia.

– Chodzi o to, by je zniszczyć?

– Och nie... Zastosujemy znacznie bardziej subtelną metodę. Otrzyma pan specjalny preparat. Wystarczy parę kropeł, by treść fotografii stała się niemożliwa do odcyfrowania. To nie powinno wzbudzić żadnych podejrzeń. Zdarza się przecież... Wady emulsji, wpływ słonej wilgoci i tak dalej. Ostatecznie mają już po dziesięć lat...

Upił trochę wody ze stojącej na biurku szklanki.

– Ale odczyty to oczywiście jeszcze nie wszystko.

Agent nadstawił uszu. Oczekiwał czegoś w tym rodzaju. Dotychczasowa propozycja pomiędzy środkami a celem wydawała mu się nieprzekonująca. Ale szef miał zawsze zwyczaj pozostawiania najważniejszych rzeczy na sam koniec.

– Bo widzi pan – szef znowu sięgnął po szklankę, odstawił ją jednak z powrotem. – Profesorowie Jenkins i Harwey zapowiedzieli przyjazd na pierwszy odczyt. Nie chodzi rzecz jasna o samą obecność i hm... demonstrację jedności poglądów. Wspólna konferencja, ot w czym tkwi sedno zagadnienia. A oni... No, dla kogoś stanowi tajemnicę, jakich są zapatrywać na tę kwestię? Razem z Rudzkim gotowi są usmażyć pasztet, który... No, który będzie niełatwy do przełknięcia. Zarówno Jenkins, jak i Harwey mogą poświęcić tylko jeden dzień. Właśnie ten, w którym statek ma przybić do portu. To zostało dokładnie sprawdzone. Tak więc...

Agent pokiwał ze zrozumieniem głową.

Sprawa rzeczywiście była warta zachodu.

Teraz już nie miał żadnych wątpliwości. Już tylko ci dwaj stanowili groźny ładunek potencjalnego niebezpieczeństwa. Jeżeli zaś zrobić mieszankę z tym komunistycznym profesorem.

– Aha... jeszcze jedno – dorzucił po krótkim namyśle szef. – Chodzi o radio... Pan rozumie, że z wielu względów nie byłoby pożądane, by natychmiast po stwierdzeniu tych... hm... niedokładności mogli się porozumieć z lądem?

– Jasne. Będzie załatwione.

– Kredyt na tę sprawę wynosi...

Rozmowa przeszła na ściśle handlowe tory. Agent DOS 204 słuchał jednak słów szefa z niesłabnącym ani na chwilę zainteresowaniem.

Radiodepeszę dostarczono do gdyńskiej komórki mocno okólną drogą. Agent X-25 ze szczerym zadowoleniem przyjął wiadomość, że prowadzenie objął DOS 204. Nareszcie ktoś z głową. Bo dotychczas wszystko szło raczej na chybił trafił. Zaraz następna depesza dowiodła, że nadzieje nie były płonne. Wskazanie konkretnego człowieka z załogi, z którym można się będzie dogadać? „Wszelkie dane wskazują, że...” To już było jak najzupełniej konkretne posunięcie.

X

Od chwili zarzucenia cum przez „Jedność” agent myszkował wytrwale po nadbrzeżu. Trwało to trochę przydługo i w końcu o mały włos nie przegapił potrzebnego mu człowieka. Bo skąd mógł przypuszczać, że zejdzie na ląd w cywilu i do tego będzie wyglądał tak elegancko?

Poszedł za nim w trop.

Tu już ani mowy o jakiejś knajpie. Poznać ptaka po locie. Teraz stało się jasne, że gość będzie słono kosztował. Ale wyznaczony w depeszy limit kwoty przeznaczonej na ten cel też był zdumiewająco wysoki. Musieli widocznie wiedzieć coś niecoś na jego temat.

W luksusowym lokalu zawarcie znajomości nie było tak łatwe. Jakoś wreszcie znalazł pretekst. Zaczął od rozmowy na temat niby to wspólnych znajomych, o których tyle tylko wiedział, co zdołał wyciągnąć od osób trzecich.

Ale i potem szło nadspodziewanie opornie. Parę kieliszków whisky najwyższego gatunku za zdrowie „przyjaciół naszych przyjaciół”. Jeszcze trochę oryginalnego brandy i znowu stop. A cały alkohol spływał po tamtym bez najmniejszego wrażenia. Jakby pił czystą wodę. Niewiele pomogła zamówiona ze ściśniętym sercem butelka White Horse.

Dyskretnie napomknienia, rozpoczęte zresztą po nie wiadomo już którym toaście z rzędu, padały w próżnię. Nie rozumiał i już. Widocznie podejrzewał podstęp. Ale czyż funkcjonariusz śledczy stawiałby oryginalnego Białego Konia? I do tego całą butelkę?

X-25 próbował z jednej strony, próbował z drugiej. Wszystko bez najmniejszego rezultatu. Aż ręce opadały. W jaki właściwie sposób ma do tego człowieka trafić?

I tego dnia nic się nie udało, choć koszt wyniosły pokaźną kwotę. Agent zresztą coś niecoś w sprawozdaniu do niej dorzucił, jak to się zazwyczaj praktykowało w takich przypadkach.

Na drugi dzień poczęstunek wypadł jeszcze drożej i znów jak wyrzucony w błoto.

Trzeciego dnia X-25 postanowił zaryzykować na całego. Czas zresztą naglił. Przygotował sobie zawczasu drogę odwrotu na wypadek wsypy. Wybrał stolik tuż przy wejściu. W razie czego wystarczy jeden skok, by znaleźć się na zewnątrz. Przed podjazdem czekał samochód. Na sali tłumy. Orkiestra jeszcze bardziej potęgowała hałas. Własny głos trudno usłyszeć, a cóż dopiero... Przysunął się do niego całkiem blisko i wyłożył dokumentnie całą sprawę. Tak i tak...

Tamten wybuchnął oburzeniem niczym wulkan. Proponować coś podobnego jemu? Czy ma o tym donieść, gdzie należy?

X-25 zdrętwiał. Ładne „wszelkie dane”.

Ale w momencie gdy już sprężył się do skoku, zdołał ułoić spojrzenie myszkujące podejrzliwie dookoła. Odetchnął. Wszystko więc było w jak najlepszym porządku. Wskazana przez DOS 204 droga prowadziła do właściwego celu.

Odgrywaną przez rozmówcę komedią nie przejmował się już teraz ani odrobinę. Chodziło widocznie tylko o pozostawienie sobie furki na wszelki wypadek.

Powtórzył propozycję, zahaczając z lekka o szczegóły. Chodzi o to, żeby... Wynagrodzenie wyniesie...

Okazało się jednak, że trafił na franta kutego na wszystkie cztery kopyta. Nie i nie. Zaszała potrzeba kilkakrotnego podwyższenia sumy. W końcu dotarł do postawionego z góry limitu. Wtedy dopiero tamten zmiekkł, widząc, że nic więcej nie da się wytargować.

– Dobrze. Ale żądam również prawa azylu.

O to nie było się co handryczyć. Ostatecznie uzyskanie go nie przedstawiało zbytnich trudności.

– I żeby cała historia nie trwała dłużej jak dwa miesiące.

Tu również doszli do porozumienia.

Transakcja została zawarta ku wielkiemu zadowoleniu obu stron.

XI

Radiotelegrafista Kuc trzymał się dzielnie, dopóki to było możliwe. W końcu jednak bóle stały się nie do wytrzymania. Dopiero wtedy zastukał do ambulatorium.

Rolski spojrział na niego z niepokojem. Nie pierwszy rejs pływał na „Jedności” jako felczer i zdołał nieźle poznać jej załogę. W przypadku Kuca to dałby głowę, że nie przyszedł z jakąś błąhostką.

– Co wam dolega?

Kuc dotknął prawej strony brzucha.

– Boli jak wszyscy diabli – mruknął przez zaciśnięte zęby.

Nie trzeba było długich badań, by postawić diagnozę. Zapalenie wyrostka robaczkowego. I to wcale nie w początkowym stadium.

Zmierzył mu temperaturę. Owszem, kilka kresek ponad trzydzieści siedem. Typowy objaw. Żeby tylko ropa się nie rozlała. Nietrudno o zapalenie otrzewnej.

– Dlaczegoście z tym tak długo łazili?

Kuc wzruszył ramionami.

– W czasie rejsu nie było możliwości. Trudno przecież, by kolega Mańczak pełnił dyżur przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. A potem myślałem, że samo przejdzie.

Rolski spojrzał na niego spod oka.

Twardy człowiek – pomyślał z uznaniem.

Nie upłynęło nawet pół godziny, gdy Kuca zabierało z pokładu pogotowie. A po godzinie leżał już na stole operacyjnym. Nie było na co czekać.

Bartczak telefonował kilkakrotnie do szpitala. Wreszcie przyniósł pocieszącą wiadomość: „Wszystko w porządku”. Ale żeby jeszcze kilka godzin dłużej, byłoby źle...

Należało z miejsca poczynić starania o zastępstwo. Wyjście w rejs z jednym tylko radiotelegrafistą na pokładzie było nie do pomyślenia. Żaden człowiek nie wytrzyma czuwania w nieskończoność.

W biurze Żeglugi wynikiły pewne trudności.

– Przychodzicie w ostatniej chwili i żądacie na wczoraj...

Rozzłościł się.

– Czyż jestem jasnowidzem, by przewidywać z góry choroby załogi?

W końcu coś wyszperano.

To się nazywa mieć szczęście. Dostaniecie pierwszorzędnego fachowca. Przynajmniej tak wynika z arkuszy egzaminacyjnych.

Bartczak spojrzał zdziwiony.

– Dopiero po szkole?

– Tak. Ale za to również i po uzupełniających kursach. Dziewczyna jak złoto.

Do tego wszystkiego jeszcze dziewczyna – Bartczak przełknął westchnienie. Nic jednak nie powiedział.

Wejście Leny Marskiej na pokład powitało dziesiątki ukradkowych spojrzeń. Marynarze byli zaciekawieni, usiłowali jednak nie okazywać tego zbyt natrętnie. Jeszcze się spieszy biedactwo, pierwszy rejs zawsze najtrudniejszy. Potem idzie jak chleb z masłem.

Nie spieszyła się. Odpowiedziała na ich spojrzenia tak ciepłym uśmiechem, że z miejsca podbiła wszystkich.

– Jakaś całkiem morowa dziopa – zawyrokował Konkiel.

– Ja ją już widziałem – oznajmił z tajemniczą miną Sorek. – Ona ma narzeczonego. Taki wysoki dryblas z wąsikami. Zdaje się, że inżynier.

Jeżeli liczył na sensację, zawiódł się srogo. Wiadomość, zresztą wymyślona na poczekaniu, nie wzbudziła żadnego oddźwięku. Marynarze uznali ją już za kolekę. Tylko Mańczak lekko się zaczerwienił, w chwili gdy ścisnął dłoń swej nowej koleżance. Ale u niego to nie było groźne. Miał narzeczoną, poza którą nie widział żadnej innej kobiety.

Kapitan Bartczak sam nie wiedział, czy jest zadowolony z nowego nabytku. Był bardzo zżyty z załogą i trudno było mu przetrwać wszelkie zmiany na pokładzie.

– Z oczu jej niby dobrze patrzy, to fakt – dzielił się wrażeniami z Igielnickim – i świadectwa, że trudno o lepsze. Wolałbym jednak, by była trochę starsza i mniej ładna.

– Na pewno nie byłaby zachwycona tym życzeniem.

Bartczak uśmiechnął się mimo woli.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale jeżeli chodzi o pracę na statku... Pośród tylu mężczyzn.

– Niech pan nie zapomina o koleżance Onyżko. Nie darowałyby tego zapomnienia.

Pływa z nami od tak długiego czasu i jakoś nie spowodowała żadnych komplikacji sercowych.

Kapitan roześmiał się głośno. Zestawienie obwisłych policzków bufetowej z historiami miłosnymi działało na wyobraźnię nieodpartą siłą komicznego kontrastu.

Spowaźniał po chwili.

– Ale ta Mirska...

– Marska – poprawił Igielnicki. – Nie, kapitanie. Trzymam zakład, że pana obawy są płonne. Cóż szkodzi, że ładna? Przyjemniej przecież popatrzeć na ładną twarzyczkę niż na jakąś maszkarę. Obserwowałem ją w chwili, gdy spojrzała po raz pierwszy na naszych chłopców. Ani krzty kokieterii. Moim zdaniem takie pierwsze spojrzenie najdobitniej zdradza charakter. Kolega, ot co. – W głosie jego, o dziwo, nie brzmiała ani jedna kpiąca nutka.

Bartczak pokiwał głową.

– Może i racja. Czas pokaże. A jutro... – przesunął ręką po włosach – oczekujemy następnego gościa.

– Bosman Kwieciński?

– Tak.

– No, temu chyba nie będzie już pan mógł nic zarzucić. Ani dziewczyna, ani piękny. A sądząc z opinii – chodząca doskonałość. I to pod każdym względem.

Bartczak westchnął.

– Tak... Ale na raz tyle nowych twarzy na statku...

XII

Bosman Kwieciński spojrzał na nią w chwili, kiedy weszła do przedziału. Rzuciła się w oczy. Istny wamp z jakiegoś zagranicznego magazynu filmowego.

Włosy może i farbowane, ale cóż z tego? Lśniły połyskiem szczerzego złota. Nie obciągała sukienki wysoko odsłaniającej strzeliste nogi. Nno... Zerknął raz i drugi. Oczywiście w sposób jak najbardziej nieznaczący. Popatrzeć ostatecznie nie grzech.

I nagle zrobiło mu się gorąco. To zaczepne spojrzenie padające spod niezwykle długich rzęs?

Bzdura. Miałaby właśnie dla niego?

Kobiety nie dawały bosmanowi Kwiecińskiemu nigdy powodów do przeceniania jego męskich walorów. Sam zresztą wiedział, jak wygląda. Nos, jakby kaczkę rozdeptały. Reszta odpowiednio dopasowana. Ani Herkules, ani specjalnie postawny. O elegancję też nie dbał. Aby tylko mundur był cały i czysty.

Ale gdy drugi i trzeci raz napotkał zachęcające lśnienie czarnych niby diamenty oczu, nie mógł już dłużej żywić jakichkolwiek wątpliwości. Było skierowane wyraźnie pod jego adresem. Co u licha? Czyżby leciała na forsz?

Ale i to nie pasowało. Ten zegarek na złotej bransoletce. Pierścionki. Nie znał się na biżuterii, wiedział jednak, że tuzin takich jak on mogłaby kupić i jeszcze sporo pozostałoby na opakowanie.

Czym prędzej odwrócił głowę z powrotem ku oknu. Usiłował obserwować przesuający się poza szybą krajobraz. Nie wytrzymał długo. Jakby jakaś przemożna siła kręciła mięśniami karku. Nie chciał, a przecież spojrzał jeszcze raz. I właśnie wtedy...

– Czy mógłby pan otworzyć okno?

Drgnął. Pieściwy, aksamitny głos docierał gdzieś do samej głębi. I ten omdlewający uśmiech.

Musiła powtórzyć prośbę, zanim się opamiętał.

– Ależ tak... ja... – zająknął się – oczywiście. Szarpnął zatrzaskiem okiennym tak gwałtownie, jakby go zamierzał wyrwać z metalowej ramy.

– Dziękuję bardzo. Nie było już czym oddychać. Pan do Gdyni?

Nietaktem zresztą byłoby nie odpowiedzieć. Teraz nie dała mu już zamilknąć. Pytania płynęły wartkim strumieniem pomiędzy dziwnie kuszących warg.

Początkowo bąkał ni to, ni owo. Rozmowa szła jak po grudzie. Przypominała monolog z rzadka tylko przerywany nijakimi odpowiedziami. Powoli zaczęła go wciągać. Ośmielał się

po trochu. Zanim dojechali, byli już w najlepszej komitywie. Nie bardzo potrafił sobie zdać sprawę, w jaki właściwie sposób to się mogło stać.

Już na peronie wsunęła mu rękę pod ramię. Uczyniła to tak naturalnie, jakby się znali od wielu lat.

W pierwszej chwili ogarnęło go gwałtowne zmieszanie. Nie wiedział, co z sobą począć. Pod rękę z tak piękną i elegancką kobietą? Wydawało mu się, że wszyscy patrzą wyłącznie na nich. Ale cóż miał zrobić? Nie mógł przecież jej odepchnąć.

– Taki piękny wieczór – w niskim głosie jakby nutki rozmarzenia – pan chyba nie musi tak zaraz na statek?

– Nnie – rozejrział się niepewnie, konstatuując z przyjemnym zdziwieniem, że nikt nie zwraca na nich specjalnej uwagi – dopiero jutro rano...

Ucieszyła się.

– Jak to dobrze. Taką mam ochotę na małą przechadzkę. A pan?

– Ja? Tak... Jasne... Ale... – spojrzał bezradnie na swój kufer.

Roześmiała się cicho.

– Przecież można oddać na przechowanie.

Powitał radę niczym jakieś epokowe odkrycie. Że też o tym nie pomyślał wcześniej. Rzeczywiście, jakie to proste. Bez wytartego kuferka poczuł się o wiele rażniej. Wypiął zwycięsko pierś. Mundur to mundur. Do tego jeszcze marynarski.

Długo wędrowali po ulicach. Potem wyszli nad morze.

– Łśni niczym koncha z perłowej masy... – Jeszcze coś mówiła wpatrzona w fale. To brzmiało niewątpliwie nader poetycznie. Nie bardzo jednak wsłuchiwał się w treść słów. Raczej w ich pieśzcotliwe brzmienie. Wzdłuż boku czuł dotyk prężnego młodego ciała.

Przytulała się coraz mocniej. Nabrał odwagi i przygarnął do siebie. Podała się miękko. Krew żywo pulsowała w jego żyłach.

– Może byśmy wstąpili gdzieś... na kawę? – zaproponował, śledząc niechętnym spojrzeniem snujących się wokół ludzi.

Śmiech jej zabrzmiał kusząco.

– Ooo... tak. Ale chciałabym... byś był moim gościem.

Przełknął ślinę. Po raz pierwszy odezwała się do niego tak poufale. Jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie.

Dom stał na uboczu. Ażurowe sztachety. Coś w rodzaju ogródka. Niewielka parterowa willa. Tym lepiej, że tak... Przesunął wzrokiem po ciemnych oknach. Za lśniącymi matowo szybami szara mgła firanek. Jedna z nich jakby się poruszyła. Opanowało go nagle nieprzyjemne uczucie. Nie potrafił zresztą zdać sobie sprawy z jego przyczyny.

– Dużo osób tu mieszka?

Sięgnęła do torebki, wydając klucz.

– Czy nie wszystko jedno? Teraz wszyscy porożjeżdżali się na urlopy.

– Wszyscy? – sprzed oczu nie ustępowała wizja poruszonej od wewnątrz firanki. – Czy aby na pewno?

– Na pewno... kochany. Dzisiejszej nocy będę sama na gospodarstwie. Z tobą... – błysk lśniących oczu był pełen obietnic.

W skroniach zapulsowały szybkie młoteczki. Firanka? Pewno mu się tylko wydawało. Ona przecież musiała wiedzieć lepiej...

Wszedł za nią bezwolnie. Już nie myślał o niczym innym poza jednym...

Przedpokój zalegały gęste ciemności.

– Zaraz zapalę światło.

Z głuchym hukiem zapadło za nimi ciężkie skrzydło wejściowych drzwi.

Znowu nawrót tego dziwnie nieprzyjemnego uczucia. Jakby natrętny wzrok kogoś ukrytego w nieprzeniknionym mroku.

Głupstwo – przesunął językiem po wargach. Histeria jak u panienki. Nagle drgnął, zaczynając nadśłuchiwać. Gdzieś tuż obok zatrzeszczała tafla posadzki...

XIII

Bosman Kwieciński opuścił samotną willę nadspodziewanie prędko. Wracając, wybierał jak najmniej ludne ulice. Przechodząc w pobliżu latarni, za każdym razem odwracał głowę. Za wszelką cenę pragnął uniknąć poznania przez kogoś znajomego. Wstydził się swej przygody?

Na dworcu nie przestawał strzelać na wszystkie strony ukradkowymi spojrzzeniami.

Po odebraniu bagażu z przechowalni odzyskał nagle pewność siebie. Teraz już szedł zdecydowanym krokiem, godnie wyprostowany. Nie unikał światła ani ludzi. Tylko w oczach wciąż tliły się ogniki napiętej czujności. Ale to oczywiście było niemal niemożliwe do zauważenia. Podchodząc do Domu Marynarza, zaczął nawet pogwizdywać. Dopiero jarzące się w hallu światła pozwoliły zauważyć, jak niezmiernie senną miał minę.

Od razu udał się do wskazanego pokoju. Do świetlicy nawet nie zajrzał.

– Jutro skoro świt mam się stawić na statek – rzucił w formie wyjaśnienia.

Dyżurny portier pokiwał ze zrozumieniem głową.

II. CIEŃ NA POKŁADZIE

I

W tym porcie M/S „Jedność” miał bardzo krótki postój. Załoga nawet nie schodziła na ląd. Nie było na to czasu. W ciągu kilkunastu godzin należało zrobić całą masę rzeczy. Wyładować sporo drobnicy, uzupełnić zapasy paliwa. I co najbardziej uciążliwe – doprowadzić po tym wszystkim statek do jakiegoś takiego porządku. Resztę toalety odłożono na czas dalszego rejsu. Pogoda zapowiadała się piękna.

Bezpośrednio przed podniesieniem kotwicy, tuż przy nadbrzeżu, wybuchła głośnie awantura. Trudno było zorientować się, o co właściwie chodzi. Rozwrzeszczany tłum przewalał się tam i z powrotem po kamiennych flizach. Buchnęło kilka strzałów. Kapitan Bartczak był zadowolony, że nie dawał przepustek na ląd. Tu awantura nie stanowiła czegoś niezwykłego.

Płynęli już przeszło dwie godziny, gdy Gwóźdź docierający ze szwabą do dziobowej windy kotwicznej usłyszał spoza niej cichy jęk.

Zajrzał i aż odskoczył z przerażenia. Tuż u żelaznej podstawy windy turlał się bezwładnie po deskach pokładu człowiek, znacząc swą drogę plamami krwi.

Człowiek ten był obcy. I co dziwniejsza – miał czarną skórę. Zameldował natychmiast dyżurnemu bosmanowi. Wachtę akurat pełnił Kwieciński. Postawił oczy w ślup.

– Zabity Murzyn?

– Ranny – sprostował Gwóźdź. – Przecież słyszałem, jak jęczał. Kapitan Bartczak okazał bodajże nie mniejsze zdumienie.

– Co znowu za historia?

Ruszył szybko w kierunku dziobu, prowadzony przez Gwoździa.

Zgromadziło się już tam sporo ludzi. Wieść o tajemniczym odkryciu zdołała obieć cały statek.

Przy czarnym krzątał się Rolski.

– No, co z nim? – zapytał, z trudem powściągając niecierpliwość, kapitan.

Rolski nie przestawał manipulować przy nieruchomej postaci.

– Jest nieprzytomny. Ale żyje... – powiedział wreszcie.
 – Przenieście go do ambulatorium.
 Wyciągnęły się dziesiątki rąk. Rolski musiał wyznaczyć pomocników. Pomiędzy z zawiedzionymi minami powrócili do sprzątanego pokładu.
 – Skąd on się tu wziął? – zapytał Bartczak wachtowych.
 Nikt jednak nie potrafił wyjaśnić. Milczeli, wyraźnie zakłopotani.
 Zmarszczył brwi.
 – Taka to i wachta. Każdy, kto chce, wchodzi na statek... I żeby go choć który dojrzał.
 Znalezienie nieoczekiwanego pasażera nasuwało szereg niepokojących pytań. Kto to taki? Dlaczego wszedł na statek? A przede wszystkim gdzie i w jaki sposób został doprowadzony do tego stanu? A może ktoś go podrzucił w jakimś tajemniczym celu?
 Bartczak tarł czoło. Jeżeli umrze, nie odzyskawszy przytomności? To mogłoby zagrozić trudnymi do przewidzenia komplikacjami. Ruszył w kierunku ambulatorium. W drzwiach zetknął się z doktorem Rudzkim, którego ktoś zdążył zawiadomić.
 Rudzki długo obmacywał pokrwawione ciało.
 – Nie – potrząsnął wreszcie głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie kapitana – w rezultacie nic specjalnie poważnego. Tylko mocno poturbowany.
 – A rany? – Bartczak patrzył na ciemne plamy obficie pstrzące białą lakierowany blat ambulatoryjnego stołu.
 – Głupstwo. Ze dwa małe szwy, na resztę wystarczą plastry, i krwi trochę stracił, ale przy jego budowie...
 Rozciągnięta na stole opatrunkowym postać rzeczywiście przypominała odlaną z brązu statuę Herkulesa.
 – Najdalej za dwa dni będzie już spacerował o własnych siłach.
 – A kiedy odzyska przytomność? – zapytał Bartczak. Zbadanie szczegółów dotyczących tajemniczego przybysza było przecież niezmiernie ważne.
 – Może jeszcze dziś.
 Odzyskał ją rzeczywiście po południu.
 Z ciemnobrązowych oczu wyzierało przerażenie, gdy patrzył na poważną twarz kapitana.
 – Jestem... Kariauzari – ciemne palce błędziły niespokojnie po kocu. Napoleon... Juliusz Cezar... – tłumaczył łamaną angielszczyzną – doker.
 – W jaki sposób znalazłeś się na naszym statku?
 – Tto... Bo oni... Jeden taki... Brown złapał... taką białą Mary. Ale to jeszcze dziewczynka... Płakała... On ją chciał... Ona wrzeszczy, wzywa pomocy... Tylko ja jeden w pobliżu... Mówię: „Puść, to przecież dziecko... jakże można...”. On nie słucha. „Poszedł precz, asfalt... Nie twoja sprawa”. Ja wiem, że asfalt... Ale tak płakała... Więc tylko za ramię, żeby odciągnąć. Uciekaj, mała. A on, ten Brown, na mnie. Z nożem... A to taki typ, że już niejednego... Wtedy pięścią go w szczękę... Upadł. Wiem, że niedobrze, bo biały. Ale...
 – Hmm – Bartczak przetrawiał z namysłem każde słowo opowieści – i co dalej?
 – Ona, ta mała, uciekła... Przybiegli inni, bo krzyki... I wtedy Brown, że to nie on, ale ja tą dziewczynkę... Gdzie jej teraz szukać? Żeby sprowadzili policjantów, to może by odnaleźli. Ale oni nie... Zaraz dużo... bardzo dużo białych. „Lynch! Lynch!” Wiem, co to lynch. Więc uciekłem. Bo ich było całe mnóstwo, a ja sam jeden. Cóż... byle jak najdalej... A oni za mną. Biją wszyscy. Pięści... laski... Jeden nawet strzelał... Gwizdało tuż koło ucha. Ale jakoś nie trafił... Wszędzie byli... z przodu, z tyłu... wszędzie. Gdzie uciec? – westchnął bezradnie. – A tu woda. W wodzie nikogo. Skoczyłem... Wszystko jedno czy na dno, czy pod pałkami... Byłem kiedyś pływakiem. Dobrym pływakiem... Woda to woda... Jeszcze plusnęła kulka... A potem łańcuch... Myślałem, że umieram. Ale w górę po tym łańcuchu... I

dalej było już całkiem ciemno... – umilkł wyczerpany. Na czarnym czole lśniły drobne kropelki potu.

We wzroku Rolskiego, który z uwagą wkraplał jakąś miksturę do kieliszka, Bartczak odczytał wyraźny wyrzut.

Samemu zresztą było mu przykro. Tak męczyć chorego człowieka?

No cóż, obowiązek.

– Odpoczywajcie tymczasem – uśmiechnął się niemal przepraszająco – potem zobaczymy.

Długo jednak pozostał osad niesmaku. Może trzeba było poczekać z tym badaniem, aż nabierze trochę więcej sił? W końcu machnął ręką.

– Co tam. Stało się.

Potem odbył naradę z oficerami. Jakkolwiek było, sytuacja całkiem niezwykła. Bo żeby zwyczajny blind, od razu wiadomo co robić. Ale taki?

Twarz Kaniewskiego przypominała wyciśniętą cytrynę. Bartczak obserwował go spod oka. Co tego człowieka tak zżera?

– Murzyn? – masował w zamyśleniu końcami palców wierzch dłoni. – Ba... Któż tak potrafi koloryzować jak właśnie oni? Może coś ukradł albo brał udział w jakimś napadzie? I ratując się przed pościgiem...

Potem zajął się swoją fajką. Pełen znudzenia grymas warg wskazywał, że uważa sprawę za wyczerpaną. I że przestała go zupełnie obchodzić.

Młodszy oficer nawigacyjny, Nowacki, siedział sztywno wyprostowany. Odbywał dopiero pierwszy rejs po promocji i pilnie uważał, by nie popełnić czegoś niewłaściwego.

– Paragraf sto dwadzieścia pięć, punkt A, ustęp drugi regulaminu morskiego – recytował jak na egzaminie – stanowi, w razie odkrycia na statku nielegalnego pasażera...

Długo jeszcze wywodził namaszczonym głosem.

Bartczak spojrzał na niego z ukosa. Cóż. On sam, gdy odbywał swoje pierwsze rejsy, też miał głowę nabitą wszelkiego rodzaju przepisami. Nie przerywał. Mógłby go urazić. Taki młodziak jest specjalnie przewrażliwiony na punkcie swojej godności. Monotonny zresztą szmer słów nie przeszkadzał zastanawiać się nad sytuacją.

Po naradzie nadał radiogram, precyzując zdecydowanie swoje stanowisko. Wierzył w prawdziwość opowieści nieoczekiwanego pasażera. Jeszcze przed wieczorem otrzymał odpowiedź. Akceptowano całkowicie jego propozycję. Kariauzari miał pozostać, do chwili zawinięcia w docelowym porcie, na wolnej stopie jako pasażer.

Bartczak sam zaniósł tę wiadomość do ambulatorium. Uważał to za pewnego rodzaju zadośćuczynienie.

Rolski powitał go niemal groźnym spojrzeniem. Czyż w tych warunkach leczenie może dać jakiegokolwiek rezultaty?

Kariauzari długo nie mógł zrozumieć sensu wiadomości, chociaż Bartczak powtórzył ją kilkakrotnie – cyzelując ze specjalną wyrazistością poszczególne słowa. Gdy wreszcie zrozumiał, ogarnęło go prawdziwe przerażenie. Było widoczne, że podejrzewa jakiś specjalnie wyrafinowany podstęp.

– Jestem niewinny – powtarzał, bijąc się w szeroką pierś, aż odpowiadało głuche dudnienie – całkiem niewinny...

II

Z obawą wstał wreszcie z koi. Z obawą opuszczał ambulatorium. Pełen najgorszych przeczuć wyszedł na pokład. Trwożnie rozglądał się na wszystkie strony. I chociaż nie działo się nic strasznego, przeciwnie, wszyscy odnosili się do niego z życzliwością, nieufność go nie opuszczała. Gdy w czasie pierwszego pobytu w mesie postawiono przed nim kopiasto

naładowany talerz, ujął go oburącz i wyszedł na pokład, by spożyć w jakimś odległym kąciku, jak przystało czarnemu.

Nie pozwolono. Sprowadzono z powrotem. Posadzono przy wspólnym stole. Poklepywano przyjacielsko po ramionach.

– Czego się wygłupiasz? Jedz jak człowiek!

Chociaż słowa zostały wypowiedziane w dość osobliwej angielszczyźnie – zrozumiał.

Jakżeby śmiał się sprzeciwić? Ich było tylu na własnym statku. A on sam jeden.

Nietrudno wylecieć za burtę.

Siedział jak na szpilkach, czekając, kiedy się zacznie.

Był przekonany, że sprowadzili go jedynie na pośmiewisko. Lada chwila zwałą się hurmem, sponiewierają, wykopsają jak psa. Jakże... Murzyn z nędznej wioszczyny zagubionej w głębi dżungli Czarnego Łądu przy jednym stole z białymi? Tak się przecież nie godzi.

Jadł machinalnie. Głód przewyciężył trwogę. Choroba jeszcze bardziej wzmogła apetyt, którego od tak dawna nie miał okazji zaspokoić do syta. Bez przerwy podnosił łyżkę. Wszystko i tak zapisane. Będzie, co ma być. Pokazało się dno talerza.

Nałożyli nową porcję. Pochłonął i ją. Ale gdy po raz trzeci czyjeś ręce sięgnęły po talerz, przytrzymał go oburącz, patrząc błagalnie. Więcej już nie był w stanie, ani najmniejszego kęsa... Nie zaszło nic z tego, czego się obawiał.

Siedział wraz ze wszystkimi do końca posiłku. Wyszedł z nimi na pokład. Częstowano papierosami. Ktoś podsunął tytoń. Ktoś inny ofiarował całkiem jeszcze porządną fajkę.

– Bierz, bracie, bez krępacji...

Wciąż jeszcze nie mógł wyzbyć się nieufności. Pewno tylko dlatego postępują w ten sposób, by potem tym dotkliwiej go pognębić.

Kariauzari był jeszcze młody. Ale serce uciskał ciężar obficie nawarstwionych pokładów krzywdy. Któż by potrafił zliczyć, z ilu bolesnych chwil się składały? Sam by nie potrafił... Wiedział jedynie, że doznał ich od opuszczenia rodzinnej wioski niezliczone mnóstwo. Właśnie od ludzi o białej skórze.

Zaprowadzono go do świetlicy. Poszedł bezwolnie. Nastawiono muzykę. Słuchał z przymkniętymi oczyma. Była inna niż ta, do której się przyzwyczaił. A przecież i jej dźwięki przyspieszały bieg krwi w żyłach.

Znowu wspólny posiłek z białymi marynarzami. Znowu przyjazne twarze.

Długo w noc stał na rufie wsparty o poręcz nadburcia.

Wodził zamyślnym wzrokiem po lśniącej powierzchni lekko rozkołysanego morza, przetrawiając chwile przeżyte od momentu wstąpienia na pokład tego dziwnego statku.

Życie nauczyło go kilku prawd. Tak długo twarde pięści wbijały mu te prawdy w mózgowicę, aż w końcu zaczął je uważać za niewzruszalne dogmaty. Na naczelnym miejscu stała zasada: istota kolorowa jest czymś nieskończenie niższym od człowieka białego. A Murzyn stoi najniżej w hierarchii wszystkich kolorowych gatunków.

Spełnianie najpaskudniejszych posług przy białym powinien uważać za zaszczyt. Wykonywanie za niego najcięższych prac za dobrodziejstwo. Nie wolno wchodzić w drogę białemu. Cóż... raz przecież spróbował i co z tego wynikło? Dotychczas nie potrafi pojąć, w jaki sposób zdołał ująć z życiem.

Spoufalenie się z białymi grozi w każdej chwili kopniakiem. Albo jeszcze czymś gorszym. Wszystko, co biały robi z Murzynem, jest słuszne i sprawiedliwe. Ma prawo go zelżyć bez powodu, ma prawo splunąć pod stopy.

A tu...

Zupełnie jakby znalazł się nagle w jakimś innym, nieprawdopodobnym świecie.

Też przecież biali. Ale jakże odmienni. Sadzali przy wspólnym stole, dzielili się tytoniem, okazywali przyjaźń. Traktowali jak kogoś równego? Biali – czarnego? Jakże

mógł to objąć rozum ludzki? Teraz już wiedział: ani podstęp, ani pułapka. Bo słowa mogą zmylić, przyjazne gesty wprowadzić w błąd, wyraz twarzy uśpić czujność. Ale oczy? Z nich wyziera wszystko, co jest najbardziej skryte w człowieku. Niezależnie od koloru jego skóry. A oczy marynarzy tego statku mówiły prawdę. Był tego pewien.

Nazajutrz wyskoczył ze swej koi o świcie, chociaż go nikt nie budził. Wciągnął w mig ofiarowane przez marynarzy odzienie.

– Dajcie mi jakąś pracę – wyprostował się służbiście przed wachtowym bosmanem Bociąńskim.

Bociąński potarł z zakłopotaniem podbródek.

– Hm... jakże to? Przecież jesteście na prawach pasażera...

– Nie mogę siedzieć z założonymi rękoma. Dajcie pracę – w głosie brzmiały błagalne nutki.

Bosman zameldował kapitanowi.

Bartczak przede wszystkim zasięgnął opinii doktora Rudzkiego.

– Czy mu to aby nie zaszkodzi?

– Nie. Pewna gimnastyka mięśni w takich wypadkach byłaby nawet wskazana.

Zawołał bosmana.

– Skoro tak bardzo się napiera. Tylko za bardzo nim nie orzcie.

Kariauzari jednak nie dawał się zbyć byle czym.

– Nie jestem dzieckiem. Robota też musi być jak dla mężczyzny – sprężył ramiona, aż pod upstrzoną plastrami skórą wystąpiły twarde pagórki mięśni.

Włączenie się Kariauzariego do wspólnej pracy wzbudziło ogólny aplauz.

– To bardzo przyzwoity chłop – skonstatował Sorek.

– Jo – pokiwał głową Konkiel – równy. Chociaż czarny.

Sielawa spojrzał na niego spod oka.

– Myślisz, że jakbyś trafił mordą w wiadro zielonej farby, to charakter też by ci zzieleniał?

Zawstydzony zamrugał powiekami.

– A cóż ja? Przecie nic... Czarny to czarny. Ani mi nawet w pomysłunku, żeby jakieś takie...

Potem odnosił się do Kariauzariego jeszcze bardziej serdecznie niż pozostali.

A ramiona Kariauzariego z każdą godziną pobytu na M/S „Jedność” prostowały się coraz bardziej. Odżywał. Zaczynał rozumieć, że patrzeć w oczy białego człowieka nie zawsze stanowi niewybaczalną obelgę. Tu uważano to za coś całkiem naturalnego.

– Opowiedzcie o swojej ojczyźnie – poprosił wieczorem, gdy odpoczywano po wachcie. Chciał wiedzieć jak najwięcej o kraju, gdzie żyją biali, tak bardzo odmienni od tych, z którymi miał dotychczas do czynienia.

Opowiadano wspólnymi siłami. Często brakowało słów. Gesty nie wszystko mogły wyjaśnić. Ściągnięto oficera kulturalno-oświatowego, Sikorę, który władał biegle angielskim.

Umyślnie dotąd nie przychodził, nie chcąc, by uważali, że się narzuca. Nawet teraz ograniczał się do tłumaczenia słów marynarzy. Zabierał głos tylko wtedy, gdy nie potrafili odpowiedzieć na jakieś zbyt już szczegółowe pytanie Kariauzariego. Uważał, że tak właśnie będzie lepiej.

Za to potem przyniósł albumy pełne rycin. Rozłożył mapę.

– O tu – zakreślał palcem.

Dla porównania pokazał to samo na globusie.

Kariauzari wstrzymał oddech.

– Czy to możliwe? – wodził niepewnym wzrokiem dookoła.

– Tak – kiwali potwierdzająco głowami – właśnie tak.

W głowie powstał trudny do rozwikłania mętlik. Nie spał całą noc, przewracając się na swej koi. Więc niejeden kraj, ale całe dziesiątki? Bez mała połowa kuli ziemskiej, gdzie uważają każdego człowieka za równie wartościowego, niezależnie od koloru jego skóry?

Coś kiedyś obilo mu się przypadkowo o uszy. Ale to było mgliste, nieokreślone i trudne do uwierzenia. A tu... Wciąż jeszcze nie rozumiał. Ale nie mógł już nie wierzyć.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI